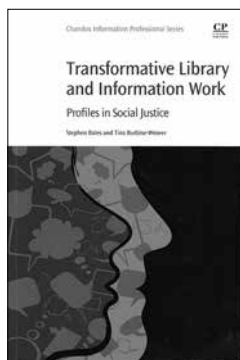


Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Publikacje powiązane z bibliotekarstwem, bibliologią oraz informacją – w formie książek, czasopism drukowanych i materiałów elektronicznych – nadal ukazują się z dużą intensywnością, co jednak nie zawsze określa ich wartość. Jest różnie. Oczywiście lepiej, że tych wypowiedzi rejestruje się sporo, ale nie zawsze da się coś wybrać do przeczytania, a zwłaszcza do rekomendacji. Oto moje typy, jakkolwiek nie twierdzę, że wszystkie w pełni udane.



BIBLIOTEKARSTWO DLA UBOGICH *****

Stephen Bales, Tina Budzise-Weaver: *Transformative Library and Information Work. Profiles in Social Justice*. Cambridge/Kidlington: Chandos Publishing, Elsevier, 2020, 152 s. ISBN 578-0-08-102011-0.

Jakiś czas temu Stephen Bales, profesor na uniwersytetach Texas oraz Tennessee, opublikował swoje opinie na temat funkcjonowania amerykańskich bibliotek przeznaczonych dla czytelników najuboższych. Wrażenie było wyjątkowo ponure. Obecnie – razem z Tiną Budzise-Weaver (to prof. na uniwersytecie Tennessee) – dokonali swego rodzaju resygnalizacji tamtych detalicznych prezentacji i wypadło to jeszcze smutniej. W całym tym pejzażu nie ma żadnej solidności, jest wiele prostactwa, a prawie wszystkie te biblioteki (o ile to są biblioteki) funkcjonują z fatalnym samopoczuciem.

Jak inaczej, skoro prawie wszystkie te biblioteki są zlokalizowane na ulicznych straganach – a zimno, mroźnie, deszczowo i śnieżnie to przecież tam również bywa – albo w kartonowych pudłach i są także biblioteki obwoźne (rowerowe), oraz obnośne (w torbach). Zakresowo też jest fatalnie: przeważają pornosy, sensacyjki oraz wszelkiego rodzaju głupoty.

Nie wiadomo, czy dałoby coś wnieść do pożytku publicznego, bo z pustego i Salomon nie naleje. Żadnych krytycznych odniesień ani refleksji autorzy w tych okolicznościach nie zaproponowali. Nie ma też pomysłów na zawodowe wsparcie bibliotekarzy – o ile to są bibliotekarze – ani tym bardziej na rozumne gromadzenie zasobów bądź informacji, na produktywne rozpowszechnianie treści.

Te biblioteki nie tworzą żadnego instytucjonalnego kompleksu, a bibliotekarze nie składają się na żadne zawodowe środowisko, nie mówiąc już o jakimkolwiek profesjonalnym kwalifikowaniu. Idziesz ulicą i albo ktoś cię zaczepi kilkoma książkami, albo (częściej) nie. I to wszystko w najbogatszym kraju świata!

Trudno robić z tego spójną panoramę syntetyczną, bowiem nie taki był zamiar autorski. To jest raczej detaliczna siatka pojedynczych obrazów, rozsianych po całym kraju, lecz jednak sygnalizująca, jak to z grubsza wygląda. W różnych regionach jest to rozmaicie. Przeważają okropności. Ale są też sygnały inicjatyw konstruktywnych. Mianowicie próby wyrwania się z tego marazmu – indywidualne oraz grupowe.

Zdarzają się propozycje współpracy międzybibliotecznej, zwłaszcza dla małych bibliotek. Między innymi: lokalne, proponowane kreatywnym czasopismom, ale nie wiadomo dlaczego często formułowane akurat przez anarchistów. Tego autorzy nie komentują ani nie wyjaśniają.

Dla takich oferentów od lat pozbierano sporo materiałów tu i ówdzie, zwłaszcza w Nowym Jorku. Jest tam specjalna biblioteka tego rodzaju, Art Lib, istniejąca od 25 lat, z wyspecjalizowanym oddziałem dla dzieci. Biblioteka jest wszechstronnie wspierana, ale są też rasistowskie ataki. Z kolei istnieje też biblioteka więzienna, z ukonkretnionym przeznaczeniem. Od 2014 r. funkcjonuje East Side Freedom Library: dla wszystkich – to 20 tys. tomów. Jest też Sub City Library, z pełną wolnością korzystania. Ale tam akurat nie chce się imigrantów ani byłych kryminalistów. Tu i tam nie ma kanalizacji ani elektryczności, a często bywa bardzo gorąco. Tak więc okoliczności są różne, przeważnie niedobre.

Szczególną uwagę przykuwa Fourth World Street (!!!) Library, istniejąca od 1957 r. już w 32 krajach. To imponujące osiągnięcie. Jest tam oferta dla całych rodzin, a także dla dzieci. Wspierana przez lokalne środowisko. Inna biblioteka – publiczna – Ferguson Municipal Public Library, też korzysta ze środowiskowej pomocy. Biblioteka w Waszyngtonie zadeklarowała usługi bez ograniczeń. A Chicago Liberation Library od 2015 r. obsługuje byłych więźniów. W swoim czasie, po trzęsieniu ziemi, miała miejsce pomoc biblioteczna dla studentów uniwersytetu w Haiti. Jak zatem widać, niejakie próby wyjścia poza ciasne kręgi ofert miały miejsce oraz nadal są.

Autorzy uważają, że trzeba określić, dla kogo jest biblioteka, z którą masz styczność i co można zrobić oraz jak. Podpowiedź dla bibliotekarza jest taka: rób to, co lubisz oraz co potrafisz. Trzeba być kreatywnym w każdych okolicznościach. A poza tym doradzają spotkania z różnymi specjalistami.

Natomiast zniechęcają do reakcji politycznych. Nie tylko oni. Okazuje się, że w USA istnieje Narodowe Zrzeszenie Przeciwno Cenzurze.

Z kolei jest zachęta, żeby wejść w obszar międzypłciowego okrągłego stołu, który istnieje od dawna, a w 1986 r. przyznał nagrody dla bibliotekarzy granty – w intencji niezależności: po 100\$. Jest też Urban Libraries Conference, która

od 2013 r. organizuje coroczne spotkania (250 osób) z postkonferencyjnymi dyskusjami.

Jak zatem widać, biblioteki bywają ruchliwe i – przynajmniej po części – sprzyjają dobrym zamiarom. Eric Moon, twórca Scarecrow Press, zasłużył się wielce eliminacji bibliotecznego marazmu. Ale do zrobienia jest ciągle więcej niż dużo. Tkwę w bibliotekarstwie już ponad 60 lat i muszę powiedzieć, że tak ponurego wizerunku, jak w tej – profesorskiej w końcu – książce jeszcze nigdy wcześniej nie spotkałem.



INFORMACYJNA WIEDZA ****

Knižničn a informan veda. XXIX. Red. Jela Steinerov. Univerzita Komenskeho v Bratislave, 2021, 232 s. ISBN 978-80-2235064-8.

A oto ciekawy rocznik, zredagowany przez prof. Jel Steinerov, szefow Katedry Bibliotekoznawstwa oraz Nauki o Informacji w Uniwersytecie Komenskiego w Bratyslawie. Kilku autorw napisao tam swoje teksty po angielsku, a inni zrobili to po sowacku. Ale mam nadziej, że nie przeszkadza to w dobrym zrozumieniu caoci, która sprawia bardzo solidne wraenie. W sumie jest to spojny przegld poudniowo-europejskich uję tematyki bibliotecznej oraz informacyjnej.

Profesor Steinerova sugeruje, że obecnie do nauki o informacji naley przywoa wszystkie nowe paradygmaty – inaczej niewiele bdzie z tego wiadomo. Ale mam akurat nieco inne zdanie. Bo trzeba jeszcze wyasni sobie, co tak naprawd rozumie si przez pojęcie paradygmatu oraz, które z paradygmatw s rzeczywiste nowe, a które zasiedziae i dlaczego. Tylko bowiem w ten sposób mona okreli dalszy tok rozumowania – w sumie w zakresie zjawisk i okolicznoci tak prostych, jak bibliotekarstwo oraz nieskomplikowanych, jak informowanie.

Otz paradygmaty to zbiory poję i teorii, tworzcych podstawy danej nauki. Tak to jeszcze w 1962 r. okreli Thomas Kuhn, a od tamtego czasu w kadej dyscyplinie te paradygmaty rozrosy si niepomiernie i przywoywanie ich kadorazowo niewyobraalnie utrudnia czytanie oraz rozumienie. A powtrz – mowa wszak o prawidowociach prostych. Otz w tym wprowadzeniu, oraz w pierwszej czeci tomu, takich odwoa jest (chyba) nadmiernie duo.

W naukach o informacji aktualnie przewaaj praktyki spoeczne, zwaszcza ich zoono, lecz take nastawienie na rozwj. Z kolei struktura intelektualna odnosi si do praktyki biblioteczno-informacyjnej. To jest krg teoretycznych dyskusji, przewidywa oraz wyasnie, w znacznym stopniu zamknity, ale te pozostajcy w silnych relacjach z biblioteczno-informacyjn praktyk. Podobno miay miejsce trzy rewolucje (moe raczej przeobraenia?): poznawcza, intelektualna oraz znaczeniowa, a ich rezultatem jest pytanie o odpowiednio informacji. Dla kogo?

Publikacji przedmiotowych jest sporo, przybywa grantw, ostatnio za pojawi si nowy, ekologiczny wariant interakcji naukowej oraz dzielenia si infor-

macją. Są też nowe modele wyszukiwań informacyjnych, a także używania informacji i tworzenia informacji online. To jest trochę inny świat. Autorka proponuje ostatecznie ekologiczny paradygmat nauk o informacji oraz etykę informacyjną eliminującą patologię w tym zakresie.

Lokalizacja tej propozycji na Słowacji oraz w Czechach nie jest przypadkowa, bo od początku lat 90. notuje się tam wyraźny postęp w tym zakresie. Wydano przedmiotową encyklopedię oraz tematyczny słownik. Odbywają się też liczne konferencje zakresowe o charakterze międzynarodowym.

Jiří Stodola z czeskiego uniwersytetu w Brnie podjął rozważania na temat prawa do informowania oraz do swobodnej wypowiedzi. Taka jest podstawa informacyjnej etyki, a jej przeciwieństwo stanowi rzecz jasna – dezinformacja. Luciano Floridi wprowadził pojęcia reguły bycia dobrym oraz bycia złym, co oznacza także ochronę entropii, czyli minimalnej prawdziwości treściowej w pojedynczym powiadomieniu. I wprawdzie czasami dezinformacja bywa pożyteczna, lecz tylko pośrednio i pod warunkiem, że nie usuwa prawdy, ani nie wyklucza rzeczywistej informacji.

W sumie więc konieczne są relacje dokładne i staranne oraz prawdziwe – koniecznie pełne znaczeń. O wartości decyduje zarówno prawdziwość, jak cel oraz charakter zasobu i finalnego produktu. A swoboda wypowiedzi w żadnym stopniu nie oznacza prawa do dezinformacji ani do cenzurowania.

Z kolei prof. Katarzyna Materska z polskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zwraca uwagę na szereg istniejących luk poznawczych. W praktyce naukowej trzeba mianowicie dać się zauważać, czyli być cytowanym. Z tego bierze się postulat odkrywalności (JESTEM!!) oraz cała rozległa gama podwiązanych przedsięwzięć. Są ro rozmaite modele wyszukiwania informacji, ale także wykorzystywania ich w dowolny sposób.

Przy całym tym nakładzie oferty, istnieje wszelako wiedza szara i powiązana z poznawczą nienauką. Po prostu nie wiemy wszystkiego, co należy. Postulat odkrywalności dominuje: daj się zauważyć lub giń. Modele wyszukiwania oraz wykorzystywania informacji są zróżnicowane, ale jednak kompletności nie zapewniają: wspomniane luki poznawcze istnieją, a razem z nimi owa wiedza szara. Bo brakuje obiektywizmu, stosownego dystansu, a istnieją pseudomożliwości dotarcia do źródeł informacji. Ma też miejsce stosowanie niezrozumiałego żargonu oraz zanika wiedza miniona: już raz rozpoznana.

Poza wszystkim brakuje zachęt i motywacji do publikowania. W rezultacie niektóre obszary wiedzy pozostają ukryte. A korzystanie z danych w trybie czysto mechanicznym udaje się z trudem. Zatem ogólnie biorąc, niedostatki poznawcze są liczne. Na dodatek wyraźnie brakuje sprawdzonych, zweryfikowanych form rozpoznawania informacji.

Tibor Koltay, prof. Eszterhazy Karoly University w Jaszbereny na Węgrzech, zwraca uwagę na niejakie podobieństwa, lecz także różnice pomiędzy danymi oraz informacjami. Różnice są funkcjonalne oraz strukturalne. Dane to materiał surowy. Ich wartość określa się według celu dla twórczego funkcjonowania. Nie wyklucza się również danych jako podstawowych zasobów intelektualnych.

Tradycyjnie przyjmowano podział na informacje, dane oraz mądrość, ale trudno powiedzieć, czy teraz również tak jest. Niekoniecznie: informacyjne może być

wszystko, więc również to, czego się nie widzi. Dopowiem, że nie brzmi to najlepiej.

Koltay uważa, że bibliotekarze powinni umieć gromadzić oraz przysposabiać dane. Czyżby? Natomiast rzadziej zajmują się ich analizą, bowiem w grę wchodzi ryzyko oraz niepewność.

Na wiarygodność danych składa się ich oryginalność, autentyczność, forma gromadzenia, akceptowalność, zastosowanie, zrozumiałość, obszar dyscypliny, reputacja, brak oszustwa, niezależny rzut oka, brak uprzedzeń, oraz weryfikacja przez powtórkę zastosowania. Jak widać: jest tego dużo. Dane prawdziwe i wiarygodne określa się z czterech punktów widzenia: empirycznego, syntaktycznego, semantycznego i pragmatycznego. Są jeszcze kategorie jakości – precyzja, kompletność, spójność, wiarygodność, aktualność, zrozumiałość oraz identyfikowalność.

Jedni tworzą dane, inni je gromadzą, a jeszcze inni prezentują. Taka to manipulacja, bo to nie są ich dane, ale praca z danymi to zespół procesów podporządkowanych. Prof. Charline Borgman uznała, że więcej danych już nam nie potrzeba, natomiast oczekujemy danych właściwych, a takich brakuje. Oraz potrzeba danych powtarzalnych.

Carlos Luis González-Valiente z Uniwersytetu w Hawanie, tymczasowo przebywający na Słowacji, dokonał przeglądu badań południowoamerykańskich, skupionych na informacji. To jest tam teraz jeden z głównych obszarów analiz, powiązanych z wykorzystywaniem informacji w codzienności. Tego jest dużo, a najwięcej w Hiszpanii oraz w Brazylii.

Mnożą się analizy cytowani, których narosło szczególnie dużo w latach 1992-2020. Najczęściej cytowano czasopisma meksykańskie, brazylijski, ale także amerykańskie oraz angielskie. Główna tematyka to informacyjne potrzeby publiczności, a także korzystanie z informacji. Dość liczne są odniesienia wielodyscyplinarne.

Teksty najważniejsze pojawiają się w książkach, a nierzadko stanowią autonomiczne rozdziały. Kraje wiodące to Brazylia, Hiszpania, Meksyk, oraz Kuba. Język zaś to głównie hiszpański; jedynie w Brazylii – portugalski. Wszystko to razem nie różni się nadmiernie od oferty amerykańskiej. Oprócz książek i czasopism, było też niemało konferencji.

Z kolei Mirka Pastierova z Uniwersytetu Komenskigo w Bratysławie pisze o powszechności informacji digitalnej. Wygląda na to, że jest to czwarta rewolucja umysłowa (czy to nie przesada?), obejmująca głównie systemy cyberfizyczne, ale osadzona w praktyce społecznej oraz indywidualnie w każdym z nas. Relacje z otoczeniem elektronicznym na własną rękę zakłócają użytkownicy, odnosząc się do Googla. To działanie trwa podobno około 14 minut, czyli więcej, niż przejmowanie 15 stron ewentualnej lektury. Jednak 90% tego zajmują reklamy.

Poza tym jest dużo przeszukiwań wielokierunkowych oraz nie brakuje licznych powtórzeń, zatem to jednak nie jest nawałnica informacji nowych. Przy tym wygląda na to, że możliwości transmisji wizualnej są wzmożone, natomiast wygodniejsze wydają się jednak przekazy werbalne w językach naturalnych. I to się rozpowszechnia. Nadmierną rolę technologii w komunikacji można zatem zakwestionować. Nasza świadomość jest warunkowana rozmaicie.

Na tym tekście kończą się anglojęzyczne wypowiedzi w tej książce, które tutaj zreferowałem. Pozostałe są już po słowacku. To nie zmienia postaci rzeczy, że uważam je za interesujące.

W szczególności doniesienie Marty Duškovej oraz Jaroslava Šušola z Bratysławy na temat publikacji postkonferencyjnych na Słowacji, których ostatnio namnożyło się tam sporo i to jest jedna z teraz form naukowego porozumienia.

To są specjalne biuletyny informacyjne, prymarne i szybkie. Łączą doniesienia rozmaite, także wcześniej niepublikowane, a więc stosunkowo szybkie, określane mało precyzyjną nazwą *szarej literatury*. Ale nazwa nazwą, a pożyteczne to jest.

Są więc doniesienia z badań jakościowych – rozmów, ankiet oraz interakcji. Jak też ilościowych: analiz bibliometrycznych. To jest kontynuacja pewnego procesu. Mianowicie w 1960 r. Eugene Garfield przyczynił się do rozbudowy baz danych (właśnie) do analiz bibliometrycznych. Obecnie dominują anglojęzyczne, ale są też inne: wielojęzyczne w różnych krajach.

W 2014 r. najwięcej było ich w Danii bo 50%, w Czechach 30%, na Słowacji 25%, a najmniej w Polsce – 15%. Odsetki się nie zgadzają, ale to już inna sprawa. W rozważaniach angielskich dominowała tematyka dostępności, opłat, ochrony praw autorskich oraz jakości oferty. W podaży przeważały monografie. A w uzupełnieniu – czasopisma oraz autonomiczne, samoistne rozdziały.

W ogóle w Europie najwięcej pojawiało się w części północnej, a najmniej w Polsce (17%); w Czechach oraz na Słowacji 25-26%. Z badań bratysławskich wynikało, że 71% tamtejszych studentów czyta głównie publikacje drukowane. Rodzajowo dominują w odbiorze doniesienia postkonferencyjne: na Słowacji to 2/3 ogółu – po słowacku oraz po angielsku. A także raporty z badań: angielskie 8% oraz słowackie 92%. W zakresie ogólniejszym w naukach humanistycznych przeważają w odbiorze doniesienia po słowacku (66%), po angielsku (20%), a w innych językach w mniejszym stopniu (14%). Jednak generalnie zbiory są może i dostępne, ale marnie finansowane.

Natomiast doc. Pavol Rankov z Uniwersytetu Komenskiego w Bratysławie, specjalizujący się w analizach dziennikarstwa, w bardzo dobrym przeglądowym opracowaniu wzięł pod lupę problemy autorstwa publikacji oraz ich kontekstów. Autorskie kłopoty, przede wszystkim powiązane z niestarannością, ciągną się od dawna, na razie bez zmian i współcześnie często zahaczają o plagiatstwo. Ale podejrzewam, że to jednak jest coś więcej.

W czasach czasopiśmienniczych czegoś takiego nie było. Owszem, bywały przejścia ze starszych składników piśmienniczych, ale to jednak nie plagiaty. Bywało nawet wręcz odwrotnie: oto z czasem wokół autorów wytwarzał się wręcz mit półboskości.

Potem pismo, odkąd weszło do rozległej praktyki, eksponowało to, co było w nim nowe i tak też było użytkowo preferowane. Z czasem już nawet nagrody przyznawano nie za świeże interpretacje, ale za najlepsze inicjatywy nowe. Dzisiaj jest inaczej. Ma miejsce współpraca autorów w następstwie analiz, syntez, porównań oraz cytowań. Wysiłek jest bowiem zbiorowy, ale wszyscy dążą do oryginalności. Natomiast te treści, o których zapomniano – poumierały.

Historia jest długa. Jeszcze w połowie XIII wieku Bonaventura rozróżnił cztery sposoby pisania:

- powtórzyć to, co napisali inni – bez dodatków i zmian,
- przepisać to, co już napisali inni, ale nie od siebie,
- napisać to, co już napisali inni, lecz także objaśnić,
- napisać to, co już napisali inni, ale ze zreferowaniem opinii własnych.

Tylko wariant czwarty odpowiada mniej więcej współczesnemu.

Ogólnie biorąc, podobno autorzy wierzą naiwnie w wyjątkowy charakter swoich wypracowań. Tymczasem ich teksty dopiero RAZEM tworzą jakiś poznawczy związek. To widać zwłaszcza poprzez cytaty. Które łącznie układają się w jakąś wiedzę, lecz bez możliwości skonkretyzowania autorstwa. W średniowieczu o niczym takim nie myślano, bo współautorem tekstu był Bóg.

W ostatnim okresie pojawiło się autorstwo kolektywne, w formach zbiorowych, w encyklopediach, a bywa także zbiorowe redagowanie całości. Tak tworzy się wersja kolektywnej inteligencji. Ale w rezultacie wiedza się animizuje: nie wiadomo, kto ją wytwarza. Bywa, że współautorstwo jest przypisywane według nieznanych kryteriów i nieokreślonym osobom.

Tymczasem w rzeczywistości autorstwa nie można oddzielić od produkcji treści ani od współpracy dla reprodukcji elementów innego autorstwa: to musi być powiązane. Tak w sumie tworzy się bogata literatura naukowa.

Są jeszcze w tym tomie zamieszczone teksty, traktujące – co w ogóle nie zdarza się często – o sposobach nauki odbioru przekazów elektronicznych. Okazuje się, że do tego potrzeba specjalnych metod i form, innych niż przy nauce czytania z druku, o czym mało kto wie. W praktyce przeważają czytanki papierowe, a to zupełnie nie to samo. Pisze o tym Marek Nagy z Uniwersytetu Komenskiego w Bratysławie sygnalizując, że czytanki multimedialne pojawiły się dopiero w 2005 r. To w powiązaniu z nimi dzieci wymyślały tematy wypowiedzi werbalnych oraz malowały.

Zastosowano specjalne programy do czytanek webowych, ale korzystanie – nawet po słowacku – okazało się trudne. Uczniom początkującym znacznie łatwiej czyta się z ekranu litery i teksty duże, a dopiero z czasem zachodzi przyzwyczajenie do przekazów zmniejszonych. Utrudnieniem są również rozciągnięcia tekstów na wzmózoną szerokość, szczególnie przy wypowiedziach dłuższych. W odbiorze uczniowie śledzą słowa i zdania oraz rejestrują zapisy ortograficzne. Dokonuje się rozpoznanie sensów, z odpowiednimi regulatorami pisemnymi. Dzieci rozpoznają głoski i następnie całe słowa, a decydujące w czytaniu jest rozpoznanie samogłosek.

W nauce powinno się czytać na głos. Przygotowano słowackie czytniki, ale potrzebne są jeszcze dobre nagrania głosowe. W ciągu pierwszego roku nauki czytania czyta się konkretne słowa.

W jednej ze słowackich szkół podstawowych wprowadzono taki właśnie przedmiot: multimedialne czytanie – jedną godzinę tygodniowo. Młodszy uczniowie czytają okienkowo, a starsi już normalnie. Część dzieci czyta wolniej i własnym tempem. Ale to trzeba akceptować. Natomiast w ogólnym ujęciu, czytniki redukują konkurencyjność czytania.

Natomiast Anna Mária Brijaková, też z Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie, skupiła się na pracy oczu czytelników – nie tylko tych najmłodszych – podczas czytania tekstów multimedialnych. Na podobieństwo czytania z druku oczy

także funkcjonują skokowo. Odbiorcy zatrzymują je, tworząc postojowe sakady.

Wtedy tęcza przejmie światło, a oko umacnia 100 milionów receptorów. Jedne z nich są aktywne przy słabej widoczności, a inne – przy dobrej. Oczy pozostają w stałym ruchu, wykonując procesy już to sprzężone, już to rozproszone. Jednak podczas ruchów czytelność spada. To nazywa się sakadowym wytłumieniem. Nie wiadomo, dlaczego tak jest. Miejsca z najostrzejszym widzeniem zajmują niewielką część pola postrzegania.

Czytanie z ekranu, tak jak z zapisu drukowanego, wymaga fiksacji, a jeszcze więcej jest ich przy elektronicznym zapisywaniu. W lekturze zajmują 90-95% czasu czytania i w ogóle jest to 70% odbieranych słów. Przy czytaniu głośnym oczy wyprzedzają głos i przesuwają się do centrum pola widzenia.

Nie wszystkie słowa są odbierane: niektóre bywają przeskakiwane. Decyduje wygląd. To jest złożony proces. Odbiór warstwy wizualnej, następnie oralnego skojarzenia, potem rozpracowanie fonologiczne i morfologiczne, na końcu zaś reprezentacja leksykalna i przepracowanie do poziomu abstrakcyjnego. W finale ma miejsce semantyczne powiązanie ze zdaniem.



CZYTANIE POWOLNE **

Опыты медленново чтенія. Коллективнаја монография. Redaktor odpowiedzialny: Natalia Smirnowa. Moskwa: Izdatielstwo Kanon-Plus, 2021, 366 s. ISBN 978-5-88373-630-7

Rosja to kraj ogromny. Mnóstwo tam uniwersytetów, politechnik i innych szkół wyższych, oraz wydziałów i instytutów, a także profesorów, docentów, doktorów, nie mówiąc już o studentach. Ale wszystko to razem niekoniecznie przekłada się na jakość naukową i merytoryczną. Jest bardzo różnie.

Mam właśnie w ręku zbiorową monografię, sygnowaną (to wstyd) przez Rosyjską Akademię Nauk im. Gorkiego w Moskwie, która się nie przekłada. Chyba zresztą twórcy mieli świadomość, że to jest mizeria, bo książkę od momentu wydania do chwili rozpowszechniania oddziela pięć lat i niektórzy autorzy już nie żyją. Ale taka książka jest i chyba trzeba o niej wspomnieć jako o pozycji bibliograficznej. Większość autorów jest z tą Akademią powiązana, lecz tego akurat do końca nie wiem, bo w tekście przeważa szaleństwo skrótów, dla Polaka całkowicie nieczytelnych. Jednak główna słabość polega na tym, że nie ma żadnej wartościowej treści, poza oczywistościami, że czytanie staranne przynosi więcej informacyjnego pożytku, aniżeli niestaranne. Pozwolę sobie zauważyć, że odkrywcze to nie jest.

Monografię otwiera redaktor całości, Natalia Smirnowa z Akademii Nauk w Moskwie, uparcie mieszając pojęcia piszącego i czytającego. To niczemu nie służy. Ponadto sugeruje, żeby w czytaniu (literackim) wiązać tekst z życiem autora. Trudno nie nazwać tego bzdurą. Niby bowiem po co? Sens tekstu wymaga odkrycia jego intencji dla siebie: to jest odbiorcza współkreacja. Zaś celem czytania jest (zdaniem autorki) wejście w krąg pojęć ogólnych, oraz skupienie się na samej literaturze. Trudno zgadnąć, co miałyby to znaczyć.

Andriej Kunariow, nauczyciel szkoły średniej, pisze o uprawie kapusty w literackim kontekście, chociaż to z głównym wątkiem tej monografii ma niewiele wspólnego. Kapusta, dawniej w Rosji nieznana, występowała jako produkt francuski, a więc (wtedy) obcy i wrogi, dopiero zaś z czasem uległa przyswojeniu. Uchodziła nawet za symptom bierności oraz bezradności: za ucieczkę od problemów. Do tej książki trafiła dlatego, że pisał o niej Aleksander Puszkina, zafascynowany francuską kulturą i obyczajowością. Tak dalece, że zdarzało mu się nawet pisać po francusku, a robił to bardzo sprawnie. No i taki jest związek tej wypowiedzi (tutaj) z tym, czym Kunariow zajmuje się zawodowo. A swoją drogą nie odmówił sobie przyjemności przypomnienia, że w swoim czasie dowódca moskiewskiego garnizonu unarodowił był kapustę, czym ewidentnie przegiął pałę, odbierając kapuście atrybuty francuskie.

Jakkolwiek tekst literacki nie stanowi pretekstu do faktograficznej analizy sygnalizowanych treści – nie tylko w odniesieniu do kapusty oraz do Puszkina. I to właśnie sugeruje Wiktor Jesipow z Akademii Nauk, w najlepszym z tekstów w tym tomie zamieszczonych. Zresztą także w nawiązaniu do twórczości Aleksandra Puszkina, co w Rosji nie jest niczym niezwykłym.

Jesipow także zachęca do czytania tekstów Puszkina w tempie spowolnionym, bo inaczej uwagi nie da się doprowadzić do miejsc i fragmentów, jeszcze nie rozpoznanych. Nawiązania tematyczne w czasach Puszkina miały zresztą podteksty polityczne: częściowo zahaczały o spór o władzę.

Jakkolwiek były mocno metaforyczne, bo w czasach Katarzyny II nie dało się inaczej, ale ta metaforyka była oraz jest czytelna, jeżeli czyta się teksty odpowiednio starannie. W tamtych latach miało to zresztą przełożenie także na gry w karty – grano w *Faraona* – taka była salonowa praktyka. A zainteresowania Puszkina wyraźnie oscylowały wokół carobójstwa. Czy wszyscy mają takie skojarzenia? Oraz jak dostrzegają dążenia Puszkina do referowania wydarzeń – bieżących oraz historycznych. Widać je zaś tylko w lekturze spowolnionej.

A także, ewentualnie: w powiązaniu. *Dama pikowa* ma sens tylko w szerokim nawiązaniu do literatury. Inne puszkiniowskie utwory podobnie. To jest rozległa propozycja, która wciąż jeszcze wymaga detalicznego rozpoznania.

Jesipow zastanawia się, czy Puszkina celowo niszczył swoje rękopisy. Bowiem zostało ich niewiele, tak jakby specjalnie zostały pousuwane z pola widzenia. Tego już nie dowiemy się dzisiaj. A szkoda, bo w całości pełno jest wątków zaskakujących. Ale jedna w sumie to, co się zachowało, układa się w logiczne wątki i całości.

Natomiast wypowiedź Anny Humierowej (Gumierowej) niekoniecznie przystaje do zawartości tej monografii. Mowa tam o skojarzeniach J. Tolkienu (to prof. Uniwersytetu w Oksfordzie) i jego literackich odwołaniach do świata mitów i legend. Ale to z wątkiem głównym tego tomu (znowu) klei się kiepsko. Chyba przez sugestię w ostatnim akapicie, że przy starannym czytaniu ma miejsce odтворzenie pramitu. Albo inaczej: ujawnia się pratekst (nie prEtekst), więc główna wersja powieści. Ale czyta się o co w tych roztrząsaniach chodziło.

Inne teksty zakwalifikowane do tej monografii są kompletnie puste. Zajmują określony obszar zadrukowany, ale trudno doszukiwać się z nich pożytku.

Jacek Wojciechowski